

Wacław Sieroszewski: Taku – Tientsin – Pekin – Szanghaj

Pekin, choć brudny, zakurzony, cuchnący, sprawił na mnie wielkie wrażenie. Patrząc na jego potężne mury, na świątynie, pałace, bramy i wieże o poważnych, potężnych liniach, zrozumiałem ów głęboki wpływ, jaki Chiny wywarły na cały Wschód. Były to pamiątki olbrzymiej i doskonale zorganizowanej energii zbiorowej, coś bodaj że większego od budowli Egiptu. Nie dziwiło mnie już, że Korea została wierną i ślepą Chin naśladowniczką, a Japonia pilną uczennicą. Wpływy Chin z jednej strony sięgnęły wysp oceanu Spokojnego, z drugiej obły się aż o brzegi morza Kaspijskiego; starożytne chińskie wyroby widywałem aż, hen, nad oceanem Lodowatym – pisał Wacław Sieroszewski w książce „Na Daleki Wschód. Kartki z podróży”.

Naszym małym, brudnym i niedbale utrzymanym stateczkiem, należącym do kolei Mandżurskiej[1], porządnie rzucały fale w nocy 12 listopada przy przejeździe z Port-Artura do Czifu. Dopiero w samej zatoce, w której głębi leży port, zmalowały. W oddali mglily się brzegi czerwone, górzyste, nie tak spiętrzone jak koreańskie, ale równie nagie. Brudno lazuruje morze kołysało się w ich obszernym wnętrzu. Daleko na urwisku czerniało miasto a w dole pod nim zarysowywał się jasną plamą wśród tłumy ciemnych statków biały kadłub wojennego okrętu. Mijamy dżonki z wielkimi bambusowymi żaglami, żółto przeświecającymi pod słońce, mijamy łodzie rybackie z tępymi nosami. Fala naszego parowca zalewa nisko ich burty i kołysze je gwałtownie. Brudni i oberwani chińscy rybacy patrzą na nas obojętnie. Zarzucamy

wreszcie kotwicę w odległości paruset sążni od brzegu i natychmiast oblega nas rój ciężkich, korytokształtnych „sampanów”. Przewoźnicy wrzeszczą, biją się i drą ku nam bezładnie, zaczepiwszy bosakami o burtę. Dowiaduję się, że za kilka godzin odchodzi do Tientsinu angielski parowiec „Shenkeng”. Stoi nie dalej jak o 100 sążni od nas. Każę się natychmiast przewieźć nań wraz z rzeczami. Ale po bilet muszę się udać do agentury na brzeg. Kapitan uprzejmy, parostatek czyściuchny i elegancki. Za to drogo: ma klasę wyłącznie pierwszą i za półtora-dniowy przejazd 35 dolarów od osoby.

Biuro zamknięte. Otworzą je punkt o dziesiątej, ani minutę później, ani minutę wcześniej. Korzystam z czasu i idę na śniadanie do najlepszego z tutejszych hoteli „Beach Hotel’u”. Brudno, nieuprzejmie i niedbale. Ani porównania choćby z takim drugorzędnym hotelem japońskim, jak „Daibutsu” w Czemulpo. Ceny jednak wysokie; za liche śniadanie zapłaciłem dolara. Po śniadaniu udaję się do chińskiego miasta. Wązkie uliczki literalnie są zatkane brudnym, cuchnącym, wrzeszczącym i zajęтым tłumem. Spokojnie zachowują się jedynie robotnicy, u straganów z jadłem. Przysiadłszy gromadnie na ziemi lub na niskich ławeczkach, chciwie pożerają oni z małych miseczek rozlewany przez przekupniów niewybredny pokarm, jakieś makarony w brunatnej zupie. Tymczasem mimo przeciągają całe procesy jucznych mułów, osłów i ludzi, zaczepiając się wzajem i wciąż pokrzykując i swarząc. Wokoło dzikie, nieumyte, bronzowe twarze, ale spojrzenia dość łagodne i wesołe... Nieraz, spotkawszy się ze mną oczami, uśmiechają się, pokazując białe zęby... Zresztą zapracowany tłum mało na mnie zwraca uwagi. Dopiero gdym wszedł się daleko w miasto, w mniej odwiedzane zaułki, pojawienie się moje zaczęło wywoływać sensację... Z wąziuchnych drzwi, zakrytych od podwórza murowanemi lub drewnianemi tarczami, wyskakiwały dzieci, wychodziły kobiety w szerokich, kolorowych rajtuzach z małemi jak kopytka nóżkami.

Piękności te używają bardzo dużo rózu i bielidła a o wiele mniej... mydła. Każda ma pośrodku ust plamę karminową, im młodsza jest i ładniejsza tem jaskrawszą. We włosy wpinają sztuczne kwiaty i szpilki z ozdobami z drżących błękitnych piórek sójek naklejonych na srebro lub złoto. Wszystko to sterczy dość wysoko i chwieje się przy najmniejszym ruchu głowy, gdyż kobieta powinna być zawsze podobną do kwiatu lub motyla!... Lecz żony ubogich prostaków zupełnie są podobne do swych mężów, nawet z ubioru i pracują na równi z nimi. Wszystkie jednak mają okaleczone nóżki-kopytka i może dlatego jedynie nie noszą takich ciężarów na plecach i głowie, jak wspaniałe niewiasty koreańskie. Wszystkie Chinki, choć często niemyte, mają starannie zaczesane włosy, równo i pracowicie nawinięte na długie i szerokie deseczki.

Zabrnąłem nareszcie w takie brudne uliczki, że od zapachu źle mi się robić zaczęło. Pod szarymi, odrapanymi murami grudy śmiecia, nawozu, trupy zdechłych kotów i psów... Wśród tych obrzydliwych kopców kręciły się jakieś podejrzone, oparszywiałe, kołtunowate ludzkie i zwierzęce postacie. Tu już nie spostrzegałem uśmiechów, lecz niespokojne, błędne spojrzenia śledziły za mną, jak za zdobyczą... Obdartusi zaczęli się zwolna skupiać koło mnie... Wykrzykiwali coś od czasu do czasu, pokazując na usta, lecz choć brała mię głęboka litość, rozumiałem, iż byłoby bardzo nierozsądnie wyjąć portmonetkę w tem towarzystwie... Cofnąłem się więc, nie zdradzając pośpiechu, znowu ku europejskiej dzielnicy przez kręte, głuche uliczki bez drzwi i okien, podobne do szpar w spękanych skałach... Obdartusi szli wciąż za mną, pokazując na usta.

Znikli dopiero w tłumie handlowej dzielnicy, błyskawicznie podchwyciwszy rzuconą im monetę, wystraszeni widokiem chińskiego policyanta z grubym kijem w ręku.

Na „Shenkeng’u” znalazłem samych Anglików. Było paru Francuzów, ale ci mało się udzielali, kryjąc po swoich kajutach. Były dwie panie, jedna, młoda „lady”, bardzo przystojna, dystyngowana blondynka, jechała z Szanghaju na tydzień do Pekinu. Nikt jej nie towarzyszył w podróży, ale wszyscy otaczali uprzejmą, spokojną, angielską opieką... Druga była siwa już pani, mężnie dotrzymująca kroku podróżującemu widocznie w interesach synowi. W tym towarzystwie był rozumie się i nieodzowny „globetreader”, udający się do Korei na polowanie na bażanty. Pytał mię, czy nie wiem, gdzie tam najodpowiedniejsze do tego miejsce...

— Rozumie się, że w górach, lecz uprzedzam pana, że tam pewnie już spadł śnieg.

Ściągnął ramiona z wyrazem przykrego zdziwienia.

Zapadał wieczór, a malinowe słońce, wielkie, matowe, jak to często bywa w Japonii, skryło się za dalekie, górzyste, chmurne brzegi. Na niebie wysokie, ślimakowate obłoki wróżyły tajfun...

Istotnie w nocy tak nami kołysało, że mój kuferek, taczając się po kajucie, wpadł aż na mnie i obudził mię. Nie byłem mu wdzięczny, gdyż już nie mogłem usnąć od niezwykłego łoskotu nacierających na statek bałwanów, zamętu wirujących dokoła ścian i bolesnych wstrząśnień śruby, co chwila wynurzającej się z wody i bijącej w puste powietrze. Na szczęście trwało to zaledwie kilka godzin; musnęło nas jedynie skrzydło burzy.

Gdy nazajutrz obudziłem się, słońce już wysoko było wzeszło na niebie i parowiec mknął lekko po sfalowanym, bezbrzeżnym przestworzu, żółtem od żółtych, mętnych fal, jak szata bogdochana. Wkrótce w dali zamajaczyła cieniuchna nitka niskich, błotnistych brzegów. Podbite z dołu słonecznym blaskiem, zdawały się wisieć w powietrzu, jak sznur oddzielnych kropeczek i kresek. Zwolna kropeczki te rosły, łączyły się, wreszcie utworzyły blado-żółty ląd, najeżony tu i owdzie masztami skupionych koło przystani okrętów... Zarysowały się ciemne kadłuby domów, zabielały czoła zburzonych w czasie ostatniej wojny fortów, służących obecnie za majaki. Na szczytach ich widziałem pikiety chińskie, japońskie i francuskie. Niemcy usadowili się przeważnie dalej wzdłuż kolei...

Wkrótce przybiegł mały parowiec i uprzedził nas, że stan wody w rzece niski i że przejść „baru” niepodobna. Kapitan uwiadomił nas, że będzie się wyładowywał, a do Tientsinu ma nadzieję dostać się dopiero za dwa dni. Choć więc wszyscy mieliśmy bilety do tego miasta, ruszyliśmy gromadnie dalej koleją. Jest to stanowczo nadużycie parostatków, które znając stan wody, obiecują mimo to zawieźć na miejsce i rozumie się, nie zwracają zapłaty. Jedynie na wiosnę i w lecie warto brać bilety wprost do Tientsinu. W jesieni i w zimie lepiej wysiadać w Taku. To w każdym razie skraca drogę przynajmniej o 5 do 6 godzin.

Na przystani kolejowej gwałt, krzyk, nieporządek... Policjantów aż czterech. Rosłe draby w czarnych zawojach, czarnych opiętych ubraniach z czerwonymi literami na piersiach. Każdy ma w ręku gruby, krótki obuszek. Po co jednak tu stoją, nie wiem, gdyż wcale a wcale nie mieszają się do tego, co się w koło nich dzieje i pozostają zupełnie obojętni na prośby i pytania podróżnych. Co za różnica z japońskimi

policjantami, których na takich przystaniach zwykle jest najwyżej dwóch, za to każdy choć trochę rozumie po angielsku i pilnie przestrzega porządku. Ponieważ w Chinach niema taks, więc przybysz jest wciąż narażony na przykrości i nadużycia ze strony tragarzów, woźniców i przewoźników... Zabierają gwałtem jego rzeczy, ciągną go gdzie chcą, i ani opór, ani protesty, których zresztą nie rozumieją, nic nie pomagają! W końcu żądają bajecznego wynagrodzenia, nawet w razie, gdy samowolnie zabrali pakunki i zanieśli je w przeciwną stronę... Szarpiają za ubranie, wrzeszczą „money”, wymachują pięściami... Każdy chce „dolara” za przeniesienie walizki o sto kroków, a żaden z nich, nawet rośli i silny, nie weźmie dwóch choćby najmniejszych węzełków. Znałem już te wszystkie „sposoby” Chińczyków, więc niewiele sobie robiłem z ich krzyku i zwróciłem się do porządnie ubranego krajowca z zapytaniem, ile im się w istocie należy. Mówił po angielsku, ale mi powiedział jedynie, ile jego rodacy żądają, lecz ile im się należy, powiedzieć nie chciał... Zawsze to samo: zupełna solidarność wszystkich warstw nawet w rzeczach nieładnych względem Europejczyka! I w tem muszę zaznaczyć różnicę z Japończykami, którzy choć żądają także wyższych cen od cudzoziemców, ale nie pozwalają na nadużycie i wyzysk poszczególny.

Po godzinie mniej więcej oczekiwania stanął nareszcie pociąg przed stacją i podróżni zaczęli wsiadać. I znowu trzeba było płacić za ładowanie pakunków. Nadomiar złego nie wydają na tej kolei biletów na bagaż. Każdy musi swe rzeczy sam wnieść do wagonu i prosić bagażowego o „opiekę”. Chaos, zamieszanie, ale rzeczy podobno nie giną; z moich też nic nie zginęło, choć trzykrotnie zdawałem je na taką „opiekę”. Na każdym pakunku przykleja posługacz kartkę z nazwą miejsca odbioru i... wyciąga rękę... Jest to ruch, który w Chinach wciąż się widzi; nawet przechodzień Chińczyk skoro dostrzeże, że cudzoziemiec trzyma w ręku portmonetkę, wyciąga rękę... na wszelki

wypadek. Doprawdy, nawet Włosi są o wiele skromniejsi. Różnią się jednak Chińczycy od Włochów, gdyż w Chinach można nic nie dać bez narażenia się na wygwizdanie lub szturchańce.

Pociąg przebiega w półtorej godziny 45 mil ang., oddzielających Taku od Tientsinu. Miejscowość wkoło równa, błotnista, pełna sapowisk i solanek. Na stacjach — wojskowe postoje. Trochę dalej od morza pojawiają się coraz gęściej oddzielne fanzy i wioski. Dużo z nich leży jeszcze w gruzach. Sąsiadem moim w wagonie był handlowiec, który tu w czasie wojen służył w milicyi jako ochotnik. Mówił mi, że wzdłuż całej tej drogi, aż do Pekinu po przejściu wojsk europejskich wszystko było spalone i pobite. Trupy mężczyzn, kobiet i dzieci leżały gęsto na polach i gęściej jeszcze płynęły na rzece Paj-ho...

— I długo tu było pusto i straszno!... Niby ktoś rękę we krwi umaczał i przeprowadził smugę po ziemi!...

Wierzę bardzo i już wcale się nie dziwię, że chińscy wyrobownicy chcą teraz żywcem każdego Europejczyka z mienia obedrzeć. To im się należy.

Stanęliśmy w Tientsinie o zmroku. Nauczony doświadczeniem, nie brałem kulisów, lecz oddałem się pod opiekę agenta hotelowego, Chińczyka z ogromną latarnią, na której czarnymi literami umieszczony był napis hotelu. Posadzono mnie do otwartej półkaretki, zaprzężonej w dwa tęgie muły i ruszyliśmy, roztrącając ludzi, wiozących i niosących ciężary, lektyki, węzełki, latarki... Ten rój światełek, kołyszących się nisko przy ziemi wśród mroku, kurzawy i

ludzkich cieniów, nadaje pewien specjalny koloryt ulicom Dalekiego Wschodu... Światełka płyną, zataczając fantastyczne zygzaki. Nie wiadomo, kto je niesie i dokąd. Od czasu do czasu tylko mignie w ich blasku ręka, noga, twarz przechodnia, wyłoni się z ciemności tułów lub koła przelatującej „rykszy”.

Po drewnianym moście, bez poręczy, szerokim zaledwie 2 i pół sążnia, tak natłoczonym ludźmi, że aż się uginał, przebyliśmy mętną Paj-ho i dostaliśmy się do czystej, bogatej dzielnicy europejskiej.

Nazajutrz zwiedzałem miasto. Chińska połowa — brudna, gwarna, ludna — różni się od innych miast chińskich tylko napisami angielskimi na wielu szyldach oraz obecnością cudzoziemców na ulicach. Najwięcej spotykałem Japończyków i sklepy japońskie widziałem też w chińskiej dzielnicy. Europejski „settlement” przedstawia piękne, niezupełnie jeszcze zabudowane miasto z szerokimi ulicami, wysadzonemi drzewami, z piętrowymi, murowanymi domami, wyglądającymi nieraz, jak pałacyki. Przeważa zresztą architektura handlowo-koszarowa, panują składy, sklepy, biura, banki. Nie dostrzegłem śladów oblężenia. Ratusz odnowiony; gruzy z śródmieścia uprzątnięte, pozostały jedynie na brzegu Paj-ho. Znikła też stamtąd wspaniała katedra katolicka, zburzona przez bokserów. Na ulicach pilnują porządku wspaniali „sikhowie“ w kolorowych zawojach oraz najemna chińska policja w mundurach. Każda narodowość ma tu swą pocztę, ale istnieje i poczta chińska, utrzymywana i prowadzona przez urząd celny pod nadzorem Anglików. Działa bardzo poprawnie, lecz listów w głąb Chin nie wysyła. Tam zostały dawne poczty prywatne, utrzymywane przez domy handlowe, lub spółki kupców chińskich. Codzień z Tientsinu odchodzi kilka pociągów do Pekinu, ale najdogodniejszy zdaje się jest pośpieszny, który idzie wprost z In-kou i Szańhaj-guania do granicy

mandzurskiej. Do Tientsinu przybywa on o trzeciej po południu. Ma wagon jadalny i komunikację bezpośrednią z Dalnim, gdyż obecnie zbudowano już na rzece Liao-he czasowy most drewniany; można więc dostać się z Warszawy do Pekinu z trzykrotnym załedwie przesiadaniem, mianowicie: w Moskwie, nad Bajkałem i w Dalnim.

Na stacyi zwykły ruch chiński, gwałt, nieporządek, choć przy odejściu asystuje znowu pociągowi policya całego świata. Miałem przyjemność oglądać prócz „sikhów” i najemników chińskich, małych, eleganckich, japońskich policyantów, oraz niemieckich, francuskich i austriackich żołnierzy.

Przejazd z Tientsinu do Pekinu trwa 4 i pół godziny. Było zupełnie ciemno, gdyśmy stanęli na miejscu. Odszukałem agenta poleconego mi hotelu i poszedłem razem z nim odbierać rzeczy. W wagonie bagażowym mrowie Chińczyków, każdy coś ciągnie. Nie wiem doprawdy, jak się to stało, że swoje rzeczy odebrałem w całości. Kosztowało mię to załedwie dziesiątkę, przyjętą skwapliwie przez bagażowego. Znowu kilku Chińczyków złapało po jednym pakunku, ale hotelowy zredukował ich natychmiast do dwóch i ruszyliśmy wzdłuż wielkiej, czarnej ściany w ciemnościach ledwie rozświeconych tu i owdzie migającymi ognikami latarni. Przez wielkie wrota sklepione dostaliśmy się do miasta. Od samej stacyi trop w trop szedł za nami jakiś jegomość.

— Po co pan do nich idzie? Oni biorą siedem dolarów, a my tylko trzy — mówił łamaną ruszczyzną.

Znowu Niemiec!

Nic mu nie odrzekłem.

— Doprawdy, wyrzucone pieniądze! U nas wcale nie gorzej!...

— Nie wierzę w niemieckie hotele... Jużem się sparzył!...

— Ależ i tamten niemiecki...

— Taak?...

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tą okolicznością, gdyż mój przewodnik rzeczy na „rykszę” był ułożył, a do drugiej gwałtem mnie ciągnął.

Hotel istotnie okazał się niemieckim: poświadczyły to swędzące obrzydliwe lampy, niedbała, nieuprzejma usługa, zła kąpiel, kurz, brud i wiele innych drobnostek bardzo przykrych dla zmęczonego podróżnika.

W Pekinie Niemcy stanowczo „stanęli mocno”; niemieccy żołnierze, niemieckie koszary, niemieckie napisy i sklepy rzucają się w oczy. Rosyjskich żołnierzy, choć ich o wiele więcej, jakoś nie widać.

Pewien Anglik, który mieszka na Wschodzie już lat piętnaście, spostrzegłszy u mnie niemiecką mapę z „rejonami wpływów”, uśmiechnął się ironicznie:

— O tak, rozbiór Chin to kwestya czasu! Niemcy wezmą Pekin i Chiny Północne, Rosya — Mongolię i Mandżuryę. Japonia — brzeg naprzeciw Formozy... Ale co to? Tutaj koło Kantonu widzę, że napisali Francuzów, tymczasem tam przecie od niepamiętnych czasów siedzą Anglicy... Aha, rozumiem!... Nie śmieli napisać siebie, ale powolutku mają nadzieję zabrać i to jako terytoryum sporne!... Sprytnie....

Właściwie przy takim podziale dostałyby się Niemcom dwie trzecie Chin, gdyż dla nikogo nie jest tajemnicą, że Mandżurya i Mongolia, zajęte i strzeżone przez żołnierzy rosyjskich, stają się z wolna wielkimi rynkami niemieckimi. W Mandżurji, Niuczwangu, Arturze z przyjściem Rosyan znikły istniejące tam przedtem amerykańskie i angielskie domy handlowe, powstały natomiast niemieckie. W Hankan ich liczba szybko wzrasta, skupują fabryki i zakładają sklepy. Ich koncesya uważana jest za najlepszą. Z swoim „billig aber schlecht” wypierają i biją oni Anglików, nawet w ich własnych koloniach, gdyż „tandeta” bardziej odpowiada wymaganiom wschodniego rynku. Sprawiedliwość zresztą przyznać nakazuje, że niemieckie „schlecht” o wiele jest lepsze od słowiańskiej „doskonałości” i że dopiero porównanie niemczyzny z angielskimi wyrobami, uczuciami, pojęciami i obyczajami wykazuje całą bezwzględną ich niższość. Niewątpliwie przypuszczalny rozbiór Chin jest pożądanym i korzystnym wyłącznie dla Niemców. Oni też tu zapewne odegrają taką samą rolę, jak przy rozbiórce Polski. Rosya z zajęciem Mandżurji faktycznie już ośwładła Mongolię. Anglia zadowolona jest z tego, co posiadała i terytoryalnych zaborów nie

pożąda. Francuzi jeszcze nie stawili Tonkinu. Dla Japonii rozbiór Chin byłby poprostu klęską. Ona w głębi serca wielbi jeszcze Chińczyków i marzy o sojuszu z Chinami, z Koreą, o olbrzymiej federacji wschodniej, która zbudowana na modłę europejską, oświecona, bogata, szczęśliwa i wolna, stałaby się nieprzebytą tamą dla nienasyconych barbarzyńców z Zachodu. Mówiono mi, że istnieje nawet wśród młodzieży japońskiej tajne stowarzyszenie, zorganizowane w celu rozpowszechniania tej idei, że członkowie jego pozostają w ciągłych i zażyłych stosunkach z takimiż stowarzyszeniami Młodych Chin. Chińczycy i Chinki dążą na uniwersytet do Tokio, gdzie ich chętnie i przyjaźnie przyjmują. W gazetach dość często można czytać wzmianki o chińsko-japońskich zebraniach studenckich, pełnych patriotyzmu i wynurzeń braterskich.

Krąży nawet legenda, że rewolucyjna młodzież japońska wysłała w swoim czasie bokserom chińskim pomoc w ludziach i orężu, lecz że okręt w drodze zatonął. Obecnie już wielu Japończyków ze sfer rządowych — a w głębi ducha może już wszyscy — przyznają, że wielką omyłką z ich strony był udział w wojnie europejsko-chińskiej.

Aby dokonać bezkarnie rozbioru Chin, trzeba przedewszystkiem co rychlej zmiażdżyć Japonię. Stąd to płynie z jednej strony nieustanne szczucie jej na Rosyę, a z drugiej... płomienne mowy i malowanie znanych symbolicznych obrazów, gdzie „żółtego smoka” mężnie zabija europejski „anioł”...

Dziedziczna polityka krzyżacka!

Spróbujmy jednak choć cośkolwiek odgadnąć z tego, co się dzieje w duszach Chińczyków.

W drodze z Pekinu do Szanghaju spotkałem na obrzydliwym parowcu chińskim „Tai-shun” trzech austriackich marynarzy. Jeden był Morawianin i mówił po polsku, Chorwata rozumiał po polsku, trzeci był Niemiec z pod Wiednia. Wszyscy młodzi i dorodni. Morawianin miał zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwustu nas jest Austryaków w Pekinie. Nasz kapitan, Polak ze Lwowa, Radzikowski, dobry pan, Ritter Nikolaus Radzikowski, drugi kapitan też Polak z Krakowa, Bogumił Nowotny, i inżynier, co buduje ministrowi dom, Polak Kownacki... i żołnierzy dużo Polaków... Dobrzy kamraci, weseli...

— A co wy tam robicie w Pekinie?

— A nic nie robimy. Jemy, pijemy, kurzymy, po dwadzieścia dolarów miesięcznie bieremy, a starsi po sześćdziesiąt, i nic nie robimy... Za wszystko płacą Czinezi... Li-chung-czang płaci... A my im za to jeszcze po karku, po karku dajemy... O jak!...

I opowiedział mi dla przykładu, jak dni temu ze „czterdzieści” Chińczycy zrobili podkop pod poselstwo angielskie, jak na przekopie załamał się murek, po którym chodził szyldwach, i wszystko się wydało, gdyż ukryci w podziemiu ludzie zaczęli krzyczeć...

— Dwudziestu złapano!... Milczeli, choć im mówić kazano, broń przyłożywszy do głowy... milczeli... Dynamit znaleźli... Jeszcze dwa dni, a wysadziliby wszystkich w powietrze... Od cesarskiego pałacu szedł podkop!...

Nie miałem możliwości sprawdzić tej opowieści, ale dyszała prawdą. Młody chłopak opowiadał ze wzruszeniem, jak zbudzono go w nocy, jak schwycił „amunicję” i „gwer” i pobiegł z towarzyszami, jak w ciemnej ulicy do nich strzelano i jak kula przebiła mu rękaw.

— Bóg z nimi... z Czinezami!... Zabijają!... A ojciec umarł, matka sama została, prosiła cesarza, aby mię wrócił, więc wracam... Co tu w Pekinie?!... Nic niema, ani muzyki, ani dziewczętów, ani potańczyć gdzie... Czinezki smerdiat i krzywo patrzą... Chodzić samemu nie bezpiecznie!... Przecie precz lubią nas Austryaków... My im warkoczów nie obcinamy bez potrzeby, jak Niemcy, Francuzi, Taliany i inni ludzie... Ale matka sama została, więc jadę...

I wciąż wracał w rozmowie do kraju, do swoich, a ja myślałem o tych dwudziestu spiskowcach, którzy kopiąc wązki kanał podziemny pod obozowiskiem wrogów, szukali w tej bezrozumnej robocie ujścia dla swych zboląłych uczuć.

— Co im zrobią?

— Komu?... Ach, Czinezom?... Hławy usiekut!

Żołnierz Niemiec, który słuchał uważnie naszej rozmowy, tłumaczonej mu po włosku przez Chorwata, głową poważnie potakiwał.

— O tem pisano i w „Cajtungu” i w „Nowinach” — rozsiewał me wątpliwości Morawianin.

Był to zresztą wypadek tak naturalny, że nawet nie bardzo wątpiłem. Przypomniałem sobie, jak w Mukdenie w odludnych uliczkach rzucono na mnie łupinami, błotem, piaskiem, no i... tak sobie... małemi napomknieniami na duże kamienie. Przypomniałem sobie następnie, z jaką skwapliwością żołnierze chińscy w Pekinie biegli ku mnie z nadstawionymi bagnietami, gdym spróbował zbliżyć się do wrót „Zakazanego Miasta”, z jaką przyjemnością potem mój umorusany ryksza ubolewał nade mną:

— A co? Chińscy żołnierze... Nie puszczają... Nie puszczają chińscy żołnierze!...

Tłum, który się natychmiast koło nas zgromadził, też bardzo był zadowolony z zachowania się żołnierzy. Ci przecie nazbyt się pośpieszyli, gdyż byłem jeszcze bardzo daleko od wzbronionego progu. W ich pośpiechu wyraźnie przebijała gwałtowna potrzeba wynagrodzenia sobie, choć w tak błahy sposób, za niedawne sponiewieranie świątyni narodowej. Zresztą ci sami żołnierze w chwilę potem prosili mnie dobrodusznie, abym pozwolił im spojrzeć przez moją lornetkę i, wzięwszy karabiny pod pachę, długo, uważnie patrzyli

przez szkła. Żaden z nich pewnie nic nie widział, gdyż była nastawiona dla krótkiego wzroku, lecz każdy, zwracając ją, grzecznie podniósł wielki palec i powiedział:

— Chao! (dobrze).

W dalszym ciągu przypominałem sobie, jak poważny i przyzwoicie odziany Chińczyk odskoczył ode mnie i uciekł, oglądając się z dzikiem przerażeniem, gdy w wązkim przejściu podniósł z wolna rękę do czapki, prosząc o przepuszczenie. Przypominałem sobie następnie, jak na przystani w Szanghaju bili po twarzy wyrobników Europejczycy z „towarzystwa”, ludzie ukształceni, których miałem za gentelmenów.

Pekin, choć brudny, zakurzony, cuchnący, sprawił na mnie wielkie wrażenie. Patrząc na jego potężne mury, na świątynie, pałace, bramy i wieże o poważnych, potężnych liniach, zrozumiałem ów głęboki wpływ, jaki Chiny wywarły na cały Wschód. Były to pamiątki olbrzymiej i doskonale zorganizowanej energii zbiorowej, coś bodaj że większego od budowli Egiptu. Nie dziwiło mnie już, że Korea została wierną i ślepą Chin naśladowniczką, a Japonia pilną uczennicą. Wpływy Chin z jednej strony sięgnęły wysp oceanu Spokojnego, z drugiej obły się aż o brzegi morza Kaspijskiego; starożytne chińskie wyroby widywałem aż, hen, nad oceanem Lodowatym.

Teraz olbrzym umiera. Jako starzec widzi jedynie w przeszłości piękno i dobro. Lecz nie chce umrzeć przed czasem i w rzutach przymusowego zgonu nieraz jeszcze wstrząśnie światem.

Za lat kilka czekają nas tu krwawe niespodzianki! — słyszałem, jak mówił jeden z posłów europejskich.

Do odrodzenia się Wschodu Europa nie dopuści. Zbyt ona głęboko wierzy w jedno z przykazań ubiegłego stulecia: „nie będziesz czcił praw innych nad prawa handlowe!...”

Stałem oparty o kamienną balustradę kanału, otaczającego „Zakazane Miasto”, i patrzyłem na szereg żółtych, wygiętych dachów, wystających z poza wysokich ścian purpurowych, na śliczną, wielopiętrową pagodę narożną, przegładającą się w wodzie, na „Wzgórek Węglowy”, uwieńczony misternymi kioskami. Szczególniej jeden z nich, podobny do niebieskiego parasola chińskiego, ukryty wśród krzewów, cudnie grał barwnymi majolikami... Ale nawet zdala widać było, że wszystkie budynki są już zaniedbane, że się chylą do upadku, umierają... Jesienne, bezlistne drzewa, żółte, spłowiałe stoki pagórka, poszczerbione mury, daleko uchodząca, nieskończenie długa perspektywa pałaców, których widać było stąd jedynie złocone okapy, zachodzące słońce — czerwone i bez blasku, wszystko owiane tumanami szarej, niesionej przez wichurę piaszczystej kurzawy, składało się na obraz pełen nieokreślonej, bolesnej tęsknoty... Było mi czegoś bardzo żal. Student poblizkiej, wyższej szkoły, który mię oprowadzał po dziedzińcu pałacowym, trącił mię nagle w ramię i wyciągnął rękę:

— Daj!

I natychmiast wyciągnęło się pokornie jeszcze dłoni kilkoro.

Pierwszy pociąg z Pekinu do Tientsinu wychodzi o 7 rano. Było nieznacznie zimno, gdym wyjeżdżał i wiatr północno-zachodni dmuchał zażarcie.

Pociąg biegł środkiem miasta: teraz dopiero uprzytomniłem sobie ogrom Pekinu. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się szeroki, wielki, zębaty mur miejski i ginął we mgłach. Ponad nim strzelały krępe wieżycyce bram, ale nic więcej. Nizki rój ulic i domków miejskich z ogrodami i świątyniami krył się bez śladu za potężną, ceglana ochroną. Z okien pociągu widać było jedynie przedmieścia, podobne zupełnie do śródmieścia, takie same szare, brudne, zakurzone, jeno mniej ludne i bogate. Zaraz za nimi zaczynały się rozległe cmentarze, podobne do wielkich kretowisk — nagie, smutne, bez drzewka i upiększenia. Osławiona synowska miłość wyrażała się tylko w większych rozmiarach wzniesienia, usypanego na postawionych pośród pola trumnach ojców. Bardzo rzadko dostrzedz można gaik sosnowy na wzgórkach z rodzinnymi grobami, okopanymi zwykle z jednej strony półkolistym wałem. Cmentarze bezpośrednio mieszają się z polami i wioskami, gęsto rozsianymi po okolicy. Dużo samotnych mogił stoi wśród pól, jeżeli tam wróżbita wskazał im miejsca. Dokoła wsi i na miedzach pól ciągną się wszędzie gaje i szpalery drzew, przeważnie wierzby, którą rok rocznie strygą tu na opał, jak owce. Wioski szare są zbudowane z mułu i mułem pokryte. Bardzo rzadko daje się spostrzedz dom z w wywiniętym, krytym dachówką dachem. Rzadziej jeszcze trafiają się świątynie z czerwonymi wrotami. Na polach zieleniła się posiana w brózdach ozimina i grzędy niezebranej jeszcze w wielu miejscach sałaty, którą Chińczycy kwaszą, jak my kapustę. W wielu miejscach nad zasiewami widziałem ukośnie pochylone tarcze trzcinowe od wiatru. Uprawa gruntów wszędzie wyborna. Na drogach dużo przechodniów, kutających zmarzłe ręce w szerokie rękawy, dużo dwukołowych, krytych

biedek, ciągnionych przez osły i muły. Na rolach oracze szli w kłębach kurzu i wichury, odwracając skiby. Na stacyach, pokrzykując, wciąż wsiadali i wysiadali zziębnięci Chińczycy. Tuż koło samego Tientsinu przyniesiono przed nasz wagon piękną lektykę; urzędnik, z kryształową gałką na czapce, zrobił w niej siedzenie; inny przyczepił do jej boku jakiś znak z piór, poczem ukazał się poważny Chińczyk w malinowej kurmie z koralowym, generalskim znaczkim. Wsiadł, tragarze podnieśli lektykę i ruszyli szybko; za stacją, na drodze, widziałem, że przyłączył się do nich orszak jezdnych i pieszych. Był to znaczny urzędnik, podobno główny inspektor szkół...

— Cywilny... Powiedziano mi, że cywilny!... — rzekł z pewnym zdziwieniem młody niemiecki oficer, który jechał w jednym ze mną przedziale.

W Tientsinie dowiedziałem się, że wszystkie statki do Szanghaju już odeszły i że nowa okazyja będzie dopiero za dwa tygodnie. Pozostawał jedynie chiński parowiec, „Taishun”, należący do towarzystwa „China Merchant”. Agent towarzystwa upewniał mię, że tam czysto i dobrze:

— Zupełnie po europejsku!...

Wierzę nawet, że „China Merchant” szczerze pragnęli, aby tak było, ale... między najczystszym Chińczykiem a przeciętnym Europejczykiem widocznie zachodzi taka sama różnica, jak między Anglikiem, który kąpie się codziennie, a chłopem polskim, używającym kąpieli raz na parę lat. Nie radzę podróżnikom, wrażliwym na przykre zapachy i trochę „popielate” sprzęty oraz pokarmy, żeglować na statkach chińskich. Bez

względu na kołysanie się, można dostać morskiej choroby od nieznosnego odoru, jaki przenika te parowce od palących opium pasażerów i załogi okrętu.

Wiedziałem o tem, ale wyboru nie miałem. Przed świtem wyruszyliśmy z Tientsinu, śpiesząc, aby w południe stanąć w ujściu rzeki i w czasie przyływu przebyć słynny „bar“. Pogłębiono go, ale zawsze zbyt mało i statki morskie przejść go mogą tylko w dużą wodę.

Nasz statek nie był wielki, ale na wąskiej Pajho wydawał się potworem. Fala biła odeń wysoko w oba brzegi, łamiąc namarzły w czasie nocy lód. Gwizdawka wciąż była czynna, strasząc łodzie i wielkie „dżonki”, płynące naprzelaj. Paj-ho strasznie się wije. Wodę ma żółtą i w żółtych, jesiennych brzegach, porośłych żółtymi wierzbami, usianych szaro-żółtymi wioskami w ten złoty dzień listopadowy, wydała mi się doprawdy podobną do lśniącego, żółtego smoka, skłębionego w fantastycznych skrętach na żółtym tle starej, chińskiej majoliki, jaką widziałem na pałacach w Mukdenie. Wokoło ściele się płaska równina, gęsto porośła gajami... Z poza drzew wysuwają się w rozmaitych częściach widnokręgu ogromne, kończaste żagle „dżonek”, płynących po wtulonej w niskie brzegi rzece i zdaje się, że żagle te płyną lasem, roztrącając bezdźwięcznie drzewa.

O ile okolice linii kolejowej są puste, o tyle gęsto zaludnione są brzegi Paj-ho. Miejscami wioski zlewają się prawie w nieprzerwany szereg domów... Rzadko wieś od wsi leży dalej, jak na dwa stajania. Gdyśmy przepływali mimo nich, zawsze wylęgał na brzeg tłum niebiesko odzianych wieśniaków, dzieci i kobiet. Mieli czas, była jesień, plony już zostały zebrane. Więc przysiadali na brzegu i gwarzyli pewnie o

zamorskiem straszyle. Statek nasz siedział za ledwie na 8 stóp w wodzie, mimo to parę razy zaczepiliśmy o dno i wreszcie ugrzęźliśmy na mieliźnie. Siedzieliśmy tam kilka godzin, aż przypływ nas wyzwolił. Z obu stron naszej przymusowej stacyi na brzegach były wioski i łódź zbita z desek przewoziła podróżnych. Cały czas tłum nie zniknął z wybrzeża; widziałem tam i niewiasty nawet młode, których obecność była zaprzeczeniem takiego już bezwzględnie zamknięcia chińskich kobiet, o jakim piszą w książkach. Młodzi kawalerowie niedaleko od nich wygrywali na fletach dość przyjemne melodie; dzieci bawiły się w kręgle i kamyki.

Do Taku dotarliśmy pod wieczór, ale przedtem przepłynęliśmy mimo ciekawego miasteczka, składającego się z ogromnych pagórków białej soli, usypanych wzdłuż brzegów i starannie pokrytych rogożami a z wierzchu obmazanych gliną. W ten sposób można podobno przechowywać sól lata całe.

W Taku nad rzeką dużo jest przystani i składów europejskich, których nie widać wcale po drodze kolejną... O zmroku zarzuciliśmy kotwicę pośrodku limanu, gdyż wyjść na morze i udać się dalej do Szanghaju mogliśmy dopiero z porannym przypływem. Gdy się nazajutrz obudziłem, brzegi były już daleko i fale miały śliczny, przejrzysty, lazurowy kolor.

Ziemię zobaczyliśmy dopiero w połowie drogi koło Czifu; były to wyspy Miau-tau w cieśninie Peczi-lijskiej. Różowe, nagie, wznosiły się stromo wprost z morza, jak zręby ryfów koralowych. Na jednej bielą

morska latarnia, rozumie się zbudowana przez Anglików. Spienione fale, nawet przy stosunkowo spokojnym morzu, wysoko skakały na strome opoki.

I znowu ziemia znikła i śliczne, błękitne morze nakryte błękitnym niebem, objęło nas ze wszech stron.

Zmętniało ono i pożółkło dopiero w pobliżu Szanghaju. W dali zarysowały się niskie, ilaste brzegi. Wkrótce pojawiły się one i na drugiej stronie horyzontu i statek nasz wszedł w szeroką, mętną zatokę, po której dość gęsto snuły się chińskie żaglowe dżonki i krążyły europejskie parowce. Zwolniliśmy biegu, kapitan raz po raz kazał mierzyć głębokość. W ten sposób weszliśmy w ujście Jang-po, strzeżonej aż przez pięć dżonek wojennych i trzy pancerniki. Dżonki wyglądają bardzo malowniczo z czerwonymi dziobami w kształcie rybich głów, z wyłupionymi strasznie rybiemi oczami i wielkimi żółtymi żaglami. Po bokach mają nieduże działa, przywiązane do burt, a z tyłu wysoki pomost dla sternika oraz kapitana — zupełnie starorzymskie galery.

Stąd już było widać Szanghaj z poza zadrzewionych, pięknie uprawnych brzegów. Szanghaj słynie jako Paryż Dalekiego Wschodu, stolica mód, zbytku i rozkoszy. Istotnie, wygląda on na miasto milionerów. Ma książęce hotele, oraz banki, kantory, biura i składy, wyglądające jak pałace. Wprawdzie wszystko to jest dość ciężkiej architektury, domy dla chłodu mają okna w głębi werand z wielkimi zwykle kolumnami, ale we wszystkim czuć potęgę i bogactwo ludzi, którzy je budowali. Strzegą ich na rogach ci sami wspaniali, wysmukli „sikhowie” z zaplecionymi krótko brodami, poważni, lecz uprzejmi.

Wzdłuż brzegu rzeki wyciągnął się piękny ogród miejski. Widziałem tam na klombach moc pięknych złocieni i pokrewnych im astrów w pełnym kwiecie. Dużo pojazdów krąży po ulicach i dużo „ryksz”, a na chodnikach mieszanina ubiorów i ludów. Lektyk w europejskim mieście nie widziałem. Bogaci Chińczycy także jeżdżą powozami.

Najświetniejsze suknie, brylanty, zaprzęgi i konie mają w Szanghaju amerykańskie kokoty, słynne z bogactwa, rozrzutności, wykształcenia i oryginalnej organizacji swych stowarzyszeń. W sklepach tutejszych można wszystkiego dostać, co wschodnia i zachodnia dusza zamarzy, rozumie się, jeżeli może za to słono zapłacić. Stopa życia tutejszego angielska i pieniądz zaczyna się od... dolara. Miasto bardzo „business”.

Gdym jednego z wieloletnich mieszkańców Szanghaju zapytał, co warto w nim obejrzeć, powiedział mi, że z wyjątkiem „settlement’u” niema co oglądać. Tymczasem dzielnica chińska wydała mi się bardzo ciekawą, pełną pięknych, starych domów o oryginalnej, innej niż na północy architekturze. Miałem mało czasu, ale kazałem się powieźć za miasto, aby obejrzeć okolicę, zwiedzić świątynię buddyjską i śliczną pagodę „Lung-fo”. Okolice toną wśród ogrodów, pełnych roślin podzwrotnikowych; draceny w gruncie kwitły właśnie i ogromne stożkowate, białe kiście ich kwiatów pięknie rysowały się w bladym, jesiennym powietrzu... Banany, palmy, bambusy, moc nieznanymi mi drzew owocowych, a obok... nasza wierzba złota. Na polach dużo krzaczków bawełnianych, już obranych z waty; w wioskach przydrożnych stukały maszyny, oczyszczające ją z nasion, i gromadki robotników w otwartych szopach witały śmiechem i żartami moje pojawienie się przed ich oknami. Droga wszędzie wyborna — szosowana i utrzymana wzorowo. W pobliżu dużo fabryk, przędzalni oraz innych manufaktur. Wszystkie otoczone murami, z domami

zarządzających w głębi wytwornych ogrodów. Wszędzie czystość, porządek, ład... Nawet Chińczycy wydali mi się lepiej wymyśli i bardziej zważający na to, gdzie należy wyrzucać śmiecie... Anglicy nie żartują, a cholera każe im dbać i o Chińczyków.

Koło świątyni już czekali na mnie obdartusi, którzy łamaną angielszczyznę ofiarowali swoje usługi. Nie potrzebowałem ich, gdyż pojęcia o niczym nie mają, ale wiedziałem, że się od nich nie odczepię i pozwoliłem sobie brzęczeć nad uszami, podczas gdy w zrokiem wprost pożerał przepiękne rzeźby na starożytnych gmachach i bramach. Wewnątrz świątynia, jak większość świątyń chińskich, była mniej ciekawą. Zawsze to samo: złocone figury Buddy w rozmaitych wcieleniach, gliniane i tekturowe posągi jego uczniów oraz geniusze Nieba i Ziemi. W świątyni właśnie odprawiano modlitwy. Rozumie się musiałem postawić świeczkę Buddzie, co zresztą kosztowało bardzo mało. Gorzej było z moimi przewodnikami, gdyż do pierwszego przyłączył się jakiś drugi jegomość, a do nich cała gromada dzieci, ale nie chciałem brać na swoje sumienie szczepienia tu włoskich obyczajów i odmówiłem im datku. Protestowali dość umiarkowanie, gdyż podróżnicy rzadko tu bywają i jeszcze nie zdołali ich zepsuć. Coby to było w Pekinie — doprawdy nie wiem! Tam w Żółtej Świątyni Lamajskiej gromada rumianych i dość dostatnio odzianych, małych urwisów o mało nie rozszarpała mego towarzysza, spostrzegłszy, że wyjął portmonetkę, a w Świątyni Nieba, którą zwiedziłem sam jeden wczesnym rankiem, zamknięto wrota i nie chciano mię wypuścić, dopóki się nie opłacę. Dopiero ruch w stronę rewolweru rozwarł wrzeczadze... Zresztą gdy już po wyjściu dałem im 20 centów, zuchwali stróża z niskim ukłonem podnieśli w górę wielkie palce.

Nawet zbóje w Chinach poprzestają na małym!...

Chao!

Wacław Sieroszewski

Fragment książki „Na Daleki Wschód. Kartki z podróży”, Kraków 1904.